

Walka z bolszewizmem.

II.

Jak pracują bolszewicy?

Idea przewodnią bolszewizmu, jakżeśmy to zaznaczyli, — jest niszczenie całej kultury „burżuazyjnej“, a więc zniszczenie jej podstaw etycznych i instytucyj społecznych: Kościoła, rodziny, szkoły, państwa.

A więc stosując się do recepty swego mistrza, Lenina, który twierdził, że „państwo burżuazyjne nie może być zastąpione przez państwo proletariackie (dyktaturę proletariatu) na drodze „obumierania“, lecz z reguły tylko przez gwałtowną rewolucję“¹⁾ bolszewicy dążą przedewszystkiem do **wywołania rewolucji**. Rewolucja socjalna, to pierwszy krok na drodze do urzeczywistnienia programu komunistycznego, należy tedy za pomocą odpowiedniej propagandy i dobrze skonstruowanej sieci organizacyjnej możliwie prędzej ją wywołać, należy wykorzystać każdą odpowiednią chwilę, każdy fakt, by wybuch jej przyśpieszyć.

Wzniecić i rozpaścić pożar rewolucji socjalnej na całym świecie — oto marzenia władców i Kremlinu.

Pierwszym tedy i najważniejszym celem bolszewickiej propagandy jest **hodowla i zaszczipianie mikrobów rewolucji, wytwarzanie rewolucyjnej psychozy, rewolucjonizowanie możliwie najszerzych mas.**

Każdy środek, prowadzący do tego celu upragnionego, jest dobry. Nigdy zasada „cel uświęca środki“ nie była stosowana w takiej rozciągłości, jak dziś przez bolszewickich agentów.

Należy wyznać, że warunki współczesnego życia sprzyjają rozwojowi tej rewolucyjnej psychozy.

Wojna, ta straszna katastrofa dziejowa, z jednej strony wpłynęła na obniżenie poziomu etycznego, rozpetęła instynkty gwałtu, mordu i zniszczenia, spotęgowała kult siły fizycznej, z drugiej — zniszczyła wiele ognisk pracy, zrujnowała życie gospodarcze. Masy ludu, wskutek braku pracy, uległy

¹⁾ Lenin, Państwo a rewolucja str. 47.

większemu sproletaryzowaniu, a szeregi niezadowolonych, pomnożone przez nieszczęsne ofiary wojen: inwalidów, wdowy i sieroty, przyczyniają się pogłębienia przepaści między warstwami społecznymi, do zgęszczenia atmosfery rewolucyjnej. Jeśli dodamy, że w społeczeństwie powojennem wytworzyła się specjalna warstwa pasorzytów społecznych, dobrokiewiczów, która żąda użycia wiedzona, nie zna i nie wykonywa żadnych obowiązków społecznych, a trybem swego życia, kontrastem drażni i zazdrość budzi — to będziemy mieli prawie kompletny obraz tej biosfery społecznej, w której mikroby rewolucji żyją i szybko się rozmnażają.

A jeśli okiem patrioty spojrzymy na nasz kraj, na nasze rodzime państwo polskie, to obok tych powszechnych czynników rozkładu w ojczyźnie naszej dojrzymy jeszcze specjalne warunki, które działanie mikrobow rewolucji potęgują.

Jesteśmy najbliższej tego potwornego ogniska zarazy, oddziela nas tylko luźnie skonstruowany kordon. Wśród poddanych Rzeczypospolitej mamy dużo takich, którzy już zasmakowali w anarchji bolszewizmu, byli i są jego zwolennikami, mamy tutaj stosunkowo duży procent żywiolów obcych, wrogo usposobionych do naszej rodzimej państwowości i do naszej kultury polsko-katolickiej, mamy zbyt dużo analfabetów, którzy nie orientują się w zagadnieniach prawno-społecznych, a mając możność wpływania na bieg życia państwa, pójdą na lep maksymalistycznych haseł demagogów. Wreszcie wojna, która na naszych ziemiach trwała dłużej, większe u nas spowodowała spustoszenia, nadto nie mieliśmy dobrze skonstruowanego własnego aparatu państwowego, jesteśmy ciągle w okresie budowy.

I nareszcie Ojczyzna nasza, najdalej wysunięta na Wschód placówka kultury zachodniej, mur obronny chrześcijaństwa, naturalna zaporą dla rewolucyjno-mesjanistycznych aspiracyj bolszewików, musiała zwrócić i zwróciła na się specjalną uwagę proroków materialistycznej religii Marksa.

Sądzą oni, że skoro ta ostatnia przeszkoda, „reakcyjna, burżuazyjna, klerykalna“ Polska, zostanie zrewolucjonizowana, pożar rewolucyjny ogarnie Europę całą. Wspierani przez naszych wrogów, dla których powstanie i rozwój państwa polskiego jest solą w oku, bolszewicy stworzyli specjalne organizacje, rzucili ogromne środki na zrewolucjonizowanie naszego społeczeństwa. Pracują z ogromnem natężeniem fanatycznej energii, z ogromną wprawą i konsekwencją. Przyrzemy się ich pracy nieco bliżej.

Podstawową jednostką taktyczną dla kremlńskich wodzów jest **uświadomiony ideowiec — komunista**. Jest on fundamentem najmniejszej, najbardziej żywotnej komórki organizacyjnej „jaczki“, złożonej z 3, 5, — w każdym razie nie-

wielkiej ilości ściśle zakonspirowanych i wtajemniczonych bolszewików. Jest to więc mafia, która siecie swe z łatwością wszędzie zarzucić może.

Przedstawiciel takiej „jacejki“ dąży konsekwentnie do opanowania zorganizowanych środowisk. Zaopatrzone w fafchowe, przejrzyście napisane instrukcje, w odpowiednie duże środki, w bibułę, mając dużo czasu i zastęp mniej wtajemniczonych, lecz oddanych sprawie pomocników, członek tej komórki bolszewickiej zapisuje się na listę członków Stowarzyszenia, Związku Zawodowego. Najodpowiedniejszym terenem, najbardziej przygotowaną glebą do bolszewickiej siejby, są socjalistyczne organizacje zawodowe. Wśród członków takiej organizacji praca jest ułatwioną. Łączy ich wspólna idea socjalistycznego społeczeństwa, zespala i do czynu pobudza chęć realizacji idei, większa konsekwencja, która zawsze pociąga, i nie znająca granic demagogia. Jednych pociąga się idea, drugich perspektywą władzy, trzecich się wprost kupuje. Następują wybory, ta walna bitwa, członek tajemniczej „jacejki“ zazwyczaj wygrywa, następuje rozłam, organizacja została opanowana.

Bolszewizm teoretyczny nie uznaje różnic narodowościowych, religię zwalcza, względy taktyczne każą im stawać w obronie niby to pokrzywdzonych mniejszości narodowych i religijnych — jedynie dla wywołania lub spotęgowania rewolucji. W Moskwie koncentrują się ruchy rewolucyjno-narodowe, które przecież nie w zasadzie z rewolucją bolszewicką wspólnego nie mają.

Najbardziej podatnymi środowiskami są organizacje socjalistyczne innych narodowości i wyznań. Tam nienawiść socjalistyczna łączy się z nienawiścią plemienną i wyznaniową, potęguje się.

Zdobywanie placówek organizacyjnych, to nie jedyny sposób wszechstronnej propagandy bolszewickiej. Przypominamy, że tu chodzi o zrewolucjonizowanie najszerzych mas. A więc precz z ładem, precz z pokojem wewnętrznym. Agitator bolszewicki wyzyska każdą sposobność, najmniejszy takt rozdmucha do potwornych rozmiarów, kryzys aprowizacyjny — burżuazja schowała żywność, zabierzemy siłą, przesilenie ekonomiczne — zrobili majątki, teraz chcą was zgubić. Niesumienny urzędnik źle traktuje publiczność, bierze łapówki, oficer przekroczył przepisy regulaminowe, gdzieś tam lekarz, adwokat okazał się zbyt interesownym, sługa ołtarza się zbyt niósł — oni, rzeknie agitator, — wszyscy jednacy. Stąd logiczny wniosek — precz z inteligencją. Agitator nie dba o prawdę faktów, kłamstwo uważa za jeden z najlepszych środków, któż zresztą będzie sprawdzał, zwłaszcza, że to się mówi ostrożnie, w zaufaniu. „Calumniare audacter, sem-

per aliquid haeret". I do duszy zmęczonej, do umysłu niezbyt krytycznego przyłgnie wieść, wytworzy się przekonanie, że nie masz sprawiedliwości, że warstwy kierownicze — to klasa ciemieżców, że cały ustrój nie wiele wart. Trzeba nowy zaprowadzić ład. W duszy biednego inwalidy, robotnika, ubogiej wdowy rodzi się uczucie buntu, powstaje szczerą, gorącą chęć naprawy, która czasami przekształca się w gorliwy, zdolny do największych ofiar fanatyzm rewolucyjny.

Agitator pociągnął masy nie subtelnościami doktryny, lecz hyperkrytyką, bezwzględnością sądu, tem, że przyszedł do nich z żywym słowem, że dotarł do najodleglejszych zakątków, porozmawiał z upośledzonym, zapomnianym. Przemawiał językiem zrozumiałym, operował śmiało porównaniami, zasypywał faktami, dużo obiecywał, w obcowaniu był pełnym prostoty i szczerości. Nie gardził ciemnym i brudnym analfabetą, zwrócił uwagę na młodzieńca, pełnego idealizmu. Odszedłszy, nie zapomniał o gromadce, odwiedzał ich, przysyłał im swoich pomocników, odwiedzał podczas pracy, przy odpoczynku. Zasiał ziarno nienawiści, a gdy godzina czynu wybije, rzuci te masy na ulicę, uzbroi, poprowadzi do walki. Wódz znalazł oddanych żołnierzy, ludzie hetmanów, pozabawieni znaleźli wodza.

Wielką rolę w propagandzie bolszewickiej odgrywa „biuła“, którą produkują masami i zalewają tereny walki. Zasadniczą cechą tej literatury jest aktualność i demagogja. Autor proklamacji, wzięwszy zazwyczaj za podstawę jakiś fakt w sposób dogmatyczny, określa swoje stanowisko, narzuca przy tej sposobności szereg postulatów programowych, wskazuje metody działania, krótkim lapidarnym hasłem zamknięcie odezwę i do czynu nawoła. A że słowo drukowane ma zawsze posłuch, pewien autorytet, zwłaszcza wśród mniej krytycznych mas, że odznacza się aktualnością, nie tedy dziwnego, że te, niepozorne na pierwszy rzut oka, świstki papieru, wywierają wpływ i w pewnym kierunku systematycznie wychowują.

Wielką rolę w tej propagandzie odgrywa tendencyjna sztuka dramatyczna, obraz na scenie w teatrze, lub kinomatografie, pieśń, jako poważny hymn rewolucyjny, lub, jako smętna дума o socjalnej niewoli i krzywdzie.

Pewne zasady i hasła ciągle, systematycznie powtarzane, mimo chęci nawet utkwia w splocie kojarzeniowym każdego słuchacza i czytelnika, by w odpowiednim momencie przeobrazić się w czyn.

Możemy śmiało powiedzieć, że bolszewicy propagandę udoskonalili i zorganizowali po mistrzowsku. Stała się ona sztuką, opartą na dokładnej znajomości psychiki ludzkiej i współczesnego społeczeństwa.

Wyzyskawszy kinematograf, radjotelegraf, stworzywszy całą sieć wyraźnie bolszewickich i niby neutralnych agencji, bolszewicy zorganizowali specjalne szkoły dla agitatorów, podzielili ich na kilka kategorii, zależnie od stopnia wtajemniczenia i środowiska, stworzyli dla każdego środowiska odpowiednią literaturę agitacyjną, wprowadzili wyraźną tendencję sztuki do swoich szkół i w ten sposób z propagandy zrobili jedną z podstaw swojej władzy. **Propaganda i bagnet — oto ich siła.**

Wywoławszy zapomocą usilnej propagandy i wyzyskania wszystkich czynników rozkładu, pewien ferment rewolucyjny, sprowokowawszy (prowokacja należy do często stosowanych praktyk bolszewickich), najmniejszą chociażby ruchawkę, komuniści, za pośrednictwem sprawnie działających agentów propagandy — wyolbrzymiają fakt, potęgują liczbę czynów, ofiar i skutków. Prasa, nawet wrogo usposobiona do bolszewików, w pogoni za sensacją, skwapliwie podchwytuje wieść wyolbrzymioną i, mimo woli, staje się agentem bolszewickim, przyczyniając się do spotęgowania rewolucyjnej psychozy. Ileż to już razy i gdzie nie wybuchały olbrzymie przewroty rewolucyjne? Czasami ma się wrażenie, że sprytni ajenci bolszewicy, z wprawą doświadczonych reżyserów kinematograficznych, organizują widowiska rewolucyjne, które społeczeństwo, ich wszechmocą zahypnotyzowane, traktuje, jako potężny ruch zrewolucjonizowanych mas.

Streszczając się, stwierdzamy: Bolszewicka strategia, dążąc do wywołania fermentów rewolucyjnych, za podstawę obrała ideowego, dobrze uposażonego komunistę, do pomocy dodała mu legion wyszkolonych, wyspecjalizowanych agitatorów, którzy podszywając się często pod wyznawców najrozmaitszych idei, wyzyskując każdą chorobę organizmu społecznego, wyolbrzymiając każdy fakt, nie gardząc oszczerstwem i prowokacją zapomocą żywego i drukowanego słowa, oddziałują na masy, pobudzając je do rewolucyjnego czynu, opanowując stare, stwarzając nowe instytucje, organizując bojówki, narzędzie teroru.

Tak pracują bolszewicy. I powstaje pytanie — **jaka droga możemy ich zwalczyć?**

Pytanie to zawiera w sobie pewien tragiczny ton. Zdajemy bowiem sobie sprawę, że tu nie chodzi o życie małej, krótkotrwałej instytucji — lecz, jakeśmy to już stwierdzili, o byt naszej Ojczyzny, o byt naszej cywilizacji chrześcijańskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

R.

Socjalizm na rozdrożu.

Fala rewolucyjna czasów powojennych przyniosła wprawdzie socjalistom chwilowy liczbowo bardzo znaczny wzrost ich organizacji i napędziła do ich obozu liczne tłumy, oszołomione zamętem tych gorących dni, lecz zarazem, choć tylko pośrednio, podmyła główne podstawy ich doktryny. Patrzelismy na to ciekawe zjawisko, że kierunek socjalistyczny wywierał na kształtowanie się Europy po katastrofie wojennej pod względem polityczno-prawnym, gospodarczym i społecznym wpływ bardzo wielki, ale z drugiej strony tracił na swej wewnętrznej spistości. Z całego sztucznie z mozolem wzniesionego gmachu nauki socjalistycznej usuwa się jedna zasada po drugiej. Mieli bowiem socjaliści aż nadto sposobności okazać praktyczną wartość swych hasel; lecz w decydującej chwili zabrakło im do podjęcia próby odwagi, gdyż zrozumieli, że rzeczywistość obeszlaby się bardzo niemiłosiernie z ich demagogicznymi frazesami. Tam zaś, gdzie jednak nie cofnięto się przed próbą, u bolszewików, okazało się wcześniej, niż było się można tego spodziewać, jak słabe są podstawy nauki Marksa. Pozatem musieli też socjaliści na to patrzeć, jak zgubne skutki wywołują ich hasła n. p. walki klasowej; przekonywali się, ile one całemu ogółowi, a z nim klasie robotniczej, szkody przynoszą. To wszystko otwiera im powoli oczy na błędność założeń ich systemu i stawia przed nimi konieczność rewizji całego dotychczasowego programu. Wprawdzie już dość dawno przed wojną powstał w obozie socjalistycznym prąd, nazwany rewizjonizmem, dążący do porzucenia niektórych tez marksowskich. Lecz nie zdołał on wyrzucić jakiegokolwiek wpływu na bieg polityki socjalistycznej, chociaż głosy sceptyczne o Marksie stawały się coraz liczniejsze i głośniejsze. Dopiero czasy powojenne zachwiały całą jego nauką. Jego „Kapitał“ przestał być ewangeliją socjalizmu. Nawet bolszewicy dopuszczają się już przeciw/teorjom, tam zawartym, najróżniejszych grzechów śmiertelnych.

Widzą więc socjaliści, że trzeba im się zabrać do przebudowy całego ich systemu i zrezygnować przytem z tych zasad, które uważali dotąd za najważniejsze jego filary. Lecz stare nawyki i obawa przed kompromitacją całej dotychczasowej ich działalności powstrzymują ich przed poczynieniem w tym kierunku kroków wyraźnych. Oprócz tego też muszą się oni liczyć z nastrojem rozagitowanych ich dotychczasowymi demagogicznymi sposobami mas, które nie łatwo przekonać o konieczności odwrotu.

Na rozdrożu znajduje się więc socjalizm. Stoi teraz przed wyborem, czy iść wytartym szlakiem dalej, czy też wejść na nowe drogi. Próbe takiego szukania nowych dróg, a zarazem ilustrację braku odwagi u jego wyznawców, stanowi program zgorzelicki socjalistów niemieckich. Program ten jest charakterystycznym dla całego ruchu socjalistycznego, bo właśnie tutaj uprawnione jest twierdzenie: „Germania docet“. Z Niemiec przecież on wyszedł i z niemieckich źródeł przeważnie zasila się. I dlatego można uważać zgorzelicki program jako pomnik tego wewnętrznego kryzysu, jaki socjalizm obecnie przechodzi.

Już sam zamiar rewizji programu erfurckiego, który przez całe 30 lat był miarodajny nie tylko dla socjalistów niemieckich, ale w znacznej mierze także innych krajów, a który był niejako streszczeniem nauki Marksa, uwidacznia tę klęskę, jaką twarda rzeczywistość zadała koncepcji socjalistycznej. Lecz sposób, w jaki tę rewizję przeprowadzono, daje nam dopiero prawdziwe pojęcie o rozmiarach tej klęski. Boć program zgorzelicki, będący wynikiem tej rewizji, albo rezygnuje z najgłówniejszych dotychczasowych zasad, albo zostawia je tylko w bardzo złagodzonej formie, przyczem nie trudno poznać, że podtrzymuje się je wbrew lepszemu przekonaniu jedynie z taktycznych i oportunistycznych względów. Zwłaszcza pierwszy zarys programu, ułożony przez komisję programową, odsuwał się bardzo daleko od tych teorii, które dotychczas były zasadniczą cechą socjalistycznej nauki. Wprawdzie pod wpływem opozycji, wychodzącej z kół głuchych i ślepych wobec wszelkiego doświadczenia i hołdujących skrajnemu doktryneryzmowi i z względu na próby pozyskania radykalnego kierunku ucieleśnionego w t. zw. socjalistach niezawisłych, nadano w ostatecznej redakcji programowi charakter, nie przekreślający tak jaskrawo dawnych zasad. Lecz mimoto różni się program zgorzelicki od erfurckiego właśnie w zasadniczych sprawach zupełnie, tak, że nauka socjalistyczna straciła obecnie swe teoretyczne oparcie i wisi niejako w powietrzu.

Jedną z głównych przesłanek, na których Marks oparł swój system, była t. zw. teoria katastrofy. Program erfurcki podaje też ją jako dogmat socjalistyczny. Lecz nie tylko „burżuazyjni ekonomiści“ ale i od dość dawna poważni ideolodzy socjalistyczni już podawali w wątpliwość taki rozwój stosunków społecznych, któryby zgromadził cały kapitał światowy w ręku kilku tylko jednostek, a proletarijat wtracił w bezgraniczną nędzę, co byłoby bezpośrednią przyczyną przewrotu społecznego.

Nadzwyczaj bogate doświadczenia ostatnich lat przyznały im zupełną słuszność; mowa faktów najoczywistszych była

tak wyraźna, że nie można już było dłużej zamykać na nią uszu. Porzuca więc program zgorzelicki zupełnie teorię katastrof i czyni przez to pierwszy wyłom w ideologii socjalistycznej. Teoria katastrof przeszła z tego powodu już do historii doktryn ekonomicznych, o czym najlepiej świadczy jeszcze ten fakt, że i stanowczo radykalniejsza partja t. zw. socjalistów niezależnych w swym lipskim programie także jej nie umieszcza.

Pozornie nie tak daleko odsunął się program erfurcki od dawniejszej socjalistycznej doktryny o walce klas, lecz z warką klas stoi i upada cały system socjalistyczny, dlatego też nie mogli twórcy nowego programu zupełnie jej zarzucić. Jednak mieli przywódcy socjalistyczni, posiadający choć odrobinę odpowiedzialności społecznej, tyle sposobności widzieć, jak straszne spustoszenie moralne, gospodarcze i społeczne sprowadziły hasła walki klasowej, że uznali konieczność odwrotu. I w pierwszym projekcie programu poszli tak daleko, że wogóle nie użyli wyrazu „walka klasowa“, a co do rzeczy samej, to stawili ją jak najogledniej, tak że wyraźnie było można wyczuć, że nie rozstawają się z nią tylko z względów taktycznych. Nawet naszym politykom z Narodowej Partji Robotniczej wydało się to przesunięcie na prawo jako za daleko posunięte. Wielkie oburzenie, powstałe w bezkrytycznych masach socjalistycznych z powodu tej zbyt jaskrawej dezawuacji walki klasowej, sprawiło, że do drugiego projektu weszła zasada walki klasowej w formie stanowczej. Lecz program, przyjęty na kongresie zgorzelickim, zaprowadza znów zmianę i to w kierunku umiarkowańszym. Ostała się ostatecznie walka klasowa, lecz „quantum mutata ab illa!“ Boć nie przeciwstawia się już tu warstwy robotniczej innym klasom społecznym, jak to czynił program erfurcki przez słowa: „Wyzwolenie może być tylko dziełem klasy robotniczej“. W Zgorzelicach zaś uznano wyraźnie wspólność interesów klasy robotniczej i innych ugrupowań społecznych. Już pierwsze zdanie programu tam uchwalonego mówi: „Partja socjalnodemokratyczna Niemiec jest partją ludu pracującego w mieście i na wsi. Dąży ona do zespolenia wszystkich cieleśnie i umysłowo pracujących, którzy są wskazani na wyniki własnej pracy, dla wspólnych doświadczeń intelektualnych i celów, dla wspólnej walki o demokrację i socjalizm“. W tych słowach przejawia się wyraźna tendencja do objęcia kołem wspólności interesów jak najszerszych warstw społecznych. Samą zaś zasadę walki klasowej przedstawia nowy program w sposób, który nazwalibyśmy bardzo ostrożnym. Boć zadawała się tylko twierdzeniem, że „system kapita-

histyczny uczynił z walki klasowej o wyzwolenie proletariatu historyczną konieczność i moralny postulat.“ Takie streszczenie zasady walki klasowej można uznać za odwrót na całej linii. Boć niema tu mowy o istotnej konieczności walki klasowej z kapitalizmem, lecz o jej ugruntowaniu w tym systemie kapitalistycznym, jaki w historycznym swym rozwoju ukazał liczne swe braki i niesprawiedliwości. W tem ujęciu przybiera walka klasowa zupełnie inną postać. Stała się ona w programie zgorzelickim czemś innym niż u Marksa i w programie erfurckim. I uważamy, że popełniono w Zgorzelicach wobec mas socjalistycznych najpospolitsze oszustwo, pozostawiając im tak przez nich ulubione słowo „walka klasowa“, ale podając im w tym wyrazie rzecz nowa. Czy zaś my z swego o katolicką naukę społeczną opartego stanowiska nie mogliby się zgodzić na takie ujęcie walki klasowej, jest to kwestja, nad którą można dysputować.

(Dokończenie nastąpi.)

St. Gołąb.

Wychowanie fizyczne w całokształcie wychowania.

(Por. rocznik I, str. 535 i nast. oraz rocznik II, str. 475 i nast.)

Część czwarta.

Wychowanie wogóle a władze duchowe centralne. — Stosunek wychowania do władz psychicznych drugorzędnych. — Główne zadanie wychowanie: urabianie charakterów. — Charaktery śpiżowe. — Charaktery jako antyteza charakterystycznych życiowo ujemnych typów ludzkich. — Świadomość zadań wychowawczych u wychowawcy. — Ważne pytanie. — Współpraca wychowania fizycznego z wychowaniem wogóle.

Wychowanie fizyczne oddziaływa także na życie wewnętrzne człowieka. Wpływ tegoż wychowania na duchowe właściwości ludzkie jest niemały, a z całą pewnością większy, niż ogół wychowawców zwykły przypuszczać. Zwolennicy i miłośnicy wychowania fizycznego często nie zdają sobie nawet sprawy z tego, jak wielki i walny dzierżą w rękę swoim środek umocnienia, rozwinięcia i rozszerzenia duszy ludzkiej zapomocą a raczej przy pomocy odpowiednio zorganizowanych i zdrowym duchem wychowawczym przesyconych, na pozór bardzo prozaicznych i jakby bezdusznych, ćwiczeń fizycznych.

Nim naszkicujemy całokształt realnego a jednak ideowego wpływu wychowania fizycznego na duchowy bieg ludzkiego życia, nie od rzeczy — a może nawet wcale do rzeczy — będzie, uświadomić sobie choćby z lotu ptaka,

zasadniczą rolę i służbowy niejako — w szlachetnym i sympatycznym znaczeniu — charakter wychowania w ogóle — w odniesieniu do więcej lub mniej szarej masy wychowywanych jednostek. To uświadomienie pozwoli zająć myślącemu umysłowi rzeczowe stanowisko względem głoszonych i sławionych a błogosławionych następstw wychowania fizycznego, ułatwiających poważnie proces duchowego życia i rozwoju człowieka, oraz da pewną prawną niejako podstawę postulatów, jakie w tej mierze zwykło się stawiać wychowaniu fizycznemu. Równocześnie wytyczy ono tymże postulatów granice.

Wychowanie fizyczne ma na celu przede wszystkim udoskonalenie fizycznego człowieka.

Wychowanie w ogóle ma zwierzoną sobie pieczę nad urobieniem i udoskonaleniem ducha ludzkiego. Ono ponosi trud najistotniejszy, skupiający się programowo i podstawowo w ciągłej a świadomej pracy nad wydobyciem z natury ludzkiej w wszystkich sił duchowych, nad ich skierowaniem i wrznięciem w życie w służbę ideałom religijnym, społecznym, narodowym i wszechludzkim wreszcie.

Ono uprawia, ostrzy i stylizuje niejako tę wielką ducha ludzkiego władzę, ów bezcenny, „komunistycznie“ najpowszechniejszy a ironicznie najrzadszy w świecie, a przecie w każdej ludzkiej jednostce w stanie martwym lub żywym istniejący rozum, który jest kamieniem węgielnym natury ludzkiej, tajemnicą jej wyższości ponad świat wszelkich jestestw zmysłowych, nieobdarzonych duchową władzą poznawczą, oraz rzeczywiście bogatym posagiem duszy ludzkiej, odziedziczonym przez człowieka z rąk Stwórcy.

Wychowanie ma obowiązek całą poznawczą zdolność rozumu w danej jednostce przypuszczalnie ocenić, wyjarzmić ją w granicach możebności z pod wpływu czynników mających przeźrocze duchowego poznawania człowieka i wprowadzić ją na tory prostej, naturalnej służby — prostej, zwycięskiej, bo niezniszczalnej Prawdzie, we wszelkich jej przeblaskach i postaciach.

Na tym punkcie granicznym wychowanie w ścisłym tego wyrazu znaczeniu schodzi się z pracą oświatową, z tym nieustannym i niezmordowanym trudem szkół i nauczania, co całość umysłowego dorobku wieków i syntezę wszelkich zagadnień rozumowych przenosi w świat wysiłków ludzkiego rozumu: ujętych w formę pojęcia, wniosku i rozumowania. — Finale tego przeniesienia staje się de facto stanem umysłowego posiadania świadomości ludzkiej.

Wychowanie w ogóle nie może jednak, a właściwie nie wolno mu — poprzestać na uprawie tej jednej władzy duchowej człowieka. Ono musi iść i idzie dalej.

Ono rozwija, krzepi i rzeźbi w ołę ludzką, ten wewnętrzny, najbardziej ważki, najwięcej błogosławiony i najbardziej tragiczny czynnik w życiu jednostki i zbiorowiska ludzkiego. Tę wolę musi wychowanie, jeśli chce zostać sobą, pchnąć z rozmachem ku Dobru, we wszelkich jego istotnych, nieklamanych przejawach.

Inaczej — staje się ono lichym surogatem, niebezpiecznym i groźnym falsyfikatem akcji wychowawczej.

Każdy wychowawca winien posiadać pełną świadomość tej prawdy, że rozum i jego życie, jego uposażenie przyrodzone i nabyte, cały bierny i czynny stan wiedzy oraz zdolność do racjonalnej gospodarki umysłowymi zasobami, słowem: cały intelektualizm człowieka, rozstrzyga o wartości ludzkiej, ale tylko intelektualnej.

On wystawia jednostce patent na inteligentnego, wykształconego czy wreszcie uczonego czy tylko zdolnego, czy też we wszystkich tych działach i kierunkach mało lub nic — nie posiadającego człowieka.

Wyżyny umysłowe atoli nie są ostatecznymi, najwyższymi i najistotniejszymi życiowymi szczytami w człowieku i dla człowieka.

Nie decydują one bowiem o wartości ludzkiej (w ograniczonym znaczeniu) bez względu na jej, wartości ludzkiej jako takiej, bo — moralnej.

W tej dziedzinie pojęć i życiowego specyficznego konkretnego główne, zasadnicze, bezapelacyjne słowo ma do powiedzenia: w o l a l u d z k a.

Ona rozstrzyga o moralnej wielkości lub małości, o strukturze olbrzyma lub karła moralnego, o życiowych wyżynach, poziomach i niżach, o orlim locie czy pelzaniu, o idealizmie, płowej przeciętności czy upadku, zgonie i rozkładzie moralnym człowieka.

Takiem jest żelazne prawo i władztwo ludzkiej woli. Jasnem tedy, dlaczego wychowanie wolę ludzką obiera za pierwszy przedmiot obserwacji i pieczołowitego studjum, za najdonioślejszy teren doświadczalny, za złotą oś wiecznej troski, bezustannych wysiłków i twardego, krwawego onal niekiedy znużu, a za ideał swój: jej wyrobienie, jej moc i życiową t w ó r c z o ś ć, jej zdrowie i teźyznę, jej całą dole.

Poza rozumem i wolą, wszelkie poznawcze i pożądające władze w człowieku winny iść po harmonijnej linii rozwoju i u m a c n i a ć tylko, zasilać, potęgować i estetyzować jakoby wewnątrz i do pewnego stopnia życiowe zewnętrznie człowieka.

Wychowawcy nie wolno przeceniać pamięci na niekorzyść rozumowej pracy ducha. Nie wolno mu też jej nie doceniać. Kulturę pamięci ma stawiać wysoko, lecz zawsze zostawiać ją w poddaństwie rozumowi i jego dyrektywom oraz na usługach królewskiej (z natury demokratycznej) woli.

Wychowawca ma ścisły obowiązek baczyć na to, by nie doprowadził i nie sprowadził umysłowości wychowanka (wychowanków) do typu magazynu, w którym moc pojęć i wiadomości spoczywa i świeci, ale w którym ładu rzeczowego, przejrzystości i rozkładu treści, słowem, stylu jednolitej myślowej konstrukcji — niestety — niema.

Wyobraźnię, tę twórczą ale i miazdzącą potęgę człowieka, wychowanie musi umieć zużyć dla całości rozbudowy wewnętrznego człowieka, wyzyskać jej lot, ognistość, prężność niejako i wichrowatość, u czy ć wychowanka trzymać w karbach tę lotną, niełatwo ujarzmiąlną siłę i w subordynacji wskaźnikom rozumu i zleceniom woli, by przypadkiem treść danego życia ludzkiego nie stała się ornamentem jedynie dla świątyni wyobraźni ani sam mikrokosmos ludzki igraszką w ręku rozkołysanych fal wyobraźni ani niewolnikiem, gotowym na jej skinienie, odmieść precz od siebie i Prawdę i Dobro, a rzucić się w odmet rojeń i utopij, marzeń i fantasmatów rozkosznych czy bolesnych, świetlanych czy ponurych, które jednostkę zatracić mogą — dla realnego i idealizmu życia a i narodom przepaść wykopać są zdolne.

Namiętności żyjące w człowieku, które go Syzyfem, Tantalem, Łazarzem, zbrodniarzem, albo dzielnym życia robotnikiem, a nawet i świętym, (nie same przez się, ale przez swój nieuchronny wpływ) zrobić mogą, tę, powiedzmy, zbyt drastycznie, sferę ruchów i odruchów, dążeń i zrywów, pożądań, zachceń i wzlotów uznaje i uważa wychowanie za twórczy żywioł wychowawczy i za kuźnię sił człowieczych, ale jedynie wtedy, gdy są, żyją, działają i walczą w ciągłej zawisłości i posłuchu centralnym władzom ducha: rozumowi i woli oraz zasadom, o które te władze oparte być winny (ostatecznie — prawo Boże), bo tylko w tych warunkach i w tym charakterze stać się mogą dla człowieka niezużyta i nieniszcząca dźwignią rozwoju i rozrostu moralnego, pełnego człowieka.

Serce wreszcie, jako wyraz uczuciowego ustroju i nastroju ludzkiego, organ wytwórczy — w pewnej mierze — i odbiorczy całego liryzmu wewnętrznego człowieka, a jako takie, wielki motor, jak ktoś powiedział, wielkich dzieł, jedynie w zestroju z życiem rozumu i woli ma rację bytu i rozkwitu, ma prawo do wydawania rozporządzeń, urabla-

jących życie, ma więc prawo budzić posłuch nawet u czynu ludzkiego.

Ono potrzebuje ustawicznej korekty osądów rozumu oraz prawidłowego dopływu nieusidlonej namiętnościami, niespętanej, jasnej, słonecznej, a niezłomnej woli.

Wychowanie zatem ma wielkie obowiązki względem wychowywanego pokolenia, trud ogromny przed sobą, odpowiedzialność zaś przed dziejów sądem, przed narodem — bardzo poważną a nieuniknioną.

Od wychowania zależy przeważna i przemożna część szczęścia ludzkiego na ziemi.

Wychowanie, syntetycznie rzecz biorąc, ma za cel swój z ziemskich jedyny i ostateczny, wyrobienie charakteru w danej ludzkiej jednostce, resp. rzucenie podwalin pod jej charakter — a odnośnie do swej misji społecznej i narodowej: przysparzanie społeczeństwu — narodowi ludzi z charakterem.

A charakter — to cały człowiek!

Nie chodzi tutaj i chodzić nie może o ludzi z charakterem tylko spiżowym.

Charaktery spiżowe są wprawdzie skarbem narodu, punktem ciężkości w jego życiu, filarami, na których wspiera się budowla Domu narodowego, ale takich charakterów nie wyrabia wychowanie zbyt dużo, jak stwierdza samo życie, urabiać ich (w określonym znaczeniu) może i powinno więcej a zrobić ich niekiedy nie może z braku materiału w niedojnych psychikach i organicznych ustrojach ludzkich.

Zdarzyć się też może, że źle zrozumiana, jednostronna spiżowość zostanie tylko spiżowością. To zaś dla życia nie jest wszystkim!

Wychowawcza praca ma za zadanie budzić, urabiać i budować charaktery określone, zdecydowane, o partę o zasady nieskruszalne i niezłomne, o wytyczne życiowe idealne, jasne i pewne, o sumienie żywe, prawe i jednolite.

Charakter w tem znaczeniu ma być antytezą wszelkich ludzi „chorągiewek na dachu“, „trzcin chwiejących się za łada wiatru powiewem“, sprzedawczyków idei, odstępców od zasad, kramarzy programów życiowych, ludzi-barometrów opadających i wznoszących się ze stanem opinii ludzkiej, odkrywców ex officio nowych światów — w bańce mydlanej (mniej niebezpieczny ród, acz szkodliwy), artystów podniebienia i żołądka, hurtownych „zjadaczy“ chleba, dojrzących con amore, poszukiwaczy złota — w krzywdzie ludzkiej, (bardzo podła rasa ludzi), chorążych reklamowanego fałszu życia, (groźna gawiedź — o ile zdolna), badaczy pielgrzymujących do Prawdy, a idących uparcie w kierunku, w któ-

rym jej niemasz, ludzi ex professo obywających się bez „żagli i steru“ i busoli, ludzi będących sami dla siebie i „sterem i okretem“ — i co najczęściej — mielizną czy rafą, o którą się systematycznie rozbijają (zupełnie konsekwentnie), budowniczych budujących na piasku, czcicieli głupoty i złotego cielca (co prawie zawsze w parze chodzi), indywidualów pograżonych świadomie w odmęcie brudnych i oślizgłych fał życiowych, wioślarzy przykutych dobrowolnie do galery własnych nieokiełzanych przeżyć płciowych, ślimaków zamkniętych w skorupie własnego egoizmu, (najczęstszy gatunek), niekarnej armii maroderów (w życiu naszym narodowym — zjawisko codzienne), ludzi bez czoła, z czołem ale miedzianem lub wytartem, ludzi bez sumienia, bez serca lub z sercem przezartem rdzą życia. wzdychaczy do Nirwany, wyznawców „dnia dzisiejszego“ i jego motylej wartości, dzieci żyjących chwilą i dla chwili, błaznów życiowych, wszelkich linoskoczków marnujących, dla popisu, wzięcia i kariery wartości umysłowe i moralne (na niwie literackiej nierzadkie wydarzenia), doktoryzowanych trwonicieli sił własnych i niewłasnych narzecz własnych i obcych — może nawet czasami ideowych — ale zawsze utopij, tchórzów uciekających przed bólem i — obowiązkiem (co tragiczniejsze), liryków z rozpieszczonem i przełzawionem sercem, życiowych niedołęgów, osobników chodzących niepoprawnie luzem, samopas, (popularne facon d'être), duchów mocnych ale — w nieprawości, grabarzy własnego i cudzego szczęścia, — tej całej falangi i rzeszy — ludzi-„hyen i szakali“, papug i pawi w ludzkiej postaci, ludzi będących najrealniejszą mierzwą moralną i społeczną, nie chcących wiedzieć a często i niewiedzących, co w życiu mają obowiązek dać, czego w życiu właściwie chcą, dokąd dążą, czego od życia żądać mają prawo, nie umiejących najprostszej, najprozaiczniejszej i zarazem najpoetyczniejszej a po wsze czasy najbardziej filozoficznej sztuki: sztuki życia, życia osobistego, jako swej niepodzielnej własności i życia społecznego jako części ogólnego żywotu narodu.

Wychowanie ma tej falandze przeciwstawiać nie ludzi takich czy owakich, ale ludzi z charakterem, którzyby odpór wieczny dawali zalewowi miernoty i marnoty moralnej, biedoty i hołoty życiowej, wyposażonej w mniej lub więcej apoliński czy epikurejski czy zoologiczny nawet tylko wyraz oblicza i byli krańcowem przeciwieństwem wielkiej litanji nie do „Wszystkich Świętych“ ale smutnej prawdziwie, choć czasem tragicznie wesołej i monotonna długiej litanji Don Kichotów życiowych, ludzi „bez dogmatu“, somnambulistów doczesności i — wieczności, ludzi niedorastających własnowolnie do poziomu typu przeciętnego

przynajmniej a uczciwego człowieka — chrześcijanina — katolika — i obywatela.

Tego, tj. zrozumienia doniosłości akcji wychowawczej oraz czynu wychowawczego, zdążającego świadomie i karnie do urzeczywistnienia ideałów wychowawczych drogą wypełnienia zadań wychowawczych mamy prawo żądać od wychowania i wychowawców.

Wychowawca, który z zasadniczych celów i zadań wychowania sprawy sobie zdać nie umie — lub co gorsza nie chce, lepiej by zostawił pług wychowawczy na zagonie życia, a jał się sam innej roboty w jego warunkach i rozumieniu może rozumniejszej, i rentowniejszej niekiedy, a prawie zawsze mniej odpowiedzialnej przed Bogiem, przed sumieniem, przed narodem i jego przyszłością.

Czy wychowanie fizyczne może w zakresie pracy ściśle wychowawczej (jaką powyżej przelotnie naskicowaliśmy) przynieść wychowaniu w ogóle — jakąś realną twórczą pomoc, czy przez współpracę swą może przyczynić do urabiania charakterów wychowywanej młodzieży (i nie młodzieży tylko)?

Pytanie dość ważne, a jeśli odpowiedź na nie wypadnie twierdząco, wychowanie fizyczne musi zyskać na czci i powadze i sprawiedliwej ocenie.

Wtedy do korzyści i „plusów“ ściśle fizycznych i życiowych — technicznych, jakie na jego zasług „dobro“ każdy nawet niewychowawca zapisać musi, przybędzie nowy niejako dział przysług i nieujemnych następstw — swoistych, oddziaływających na wytwarzanie się charakterów ludzkich — a firmę wychowania fizycznego opromieni czy treściowo pogłębi tytuł rzetelnej a nawskroś wychowawczej współpracy z wychowaniem w ogóle.

Nie można się spodziewać, ani żądać od wychowania fizycznego, by w każdym kierunku i równorzędnie oraz w równej mierze wspomagało swoistą pracę wychowania w ogóle.

Ale, zdaniem naszym, wychowanie fizyczne może przyczynić się i to walenie na niejednym odcinku do wychowania duchowego człowieka.

Wychowanie fizyczne bowiem wpływa wielostronnie na wolę ludzką, na jej dobroć — powiedzmy — ontologiczną a nawet i moralną (w obszerniejszem znaczeniu) a więc i na jej zalety życiowe; działa też i na serce ludzkie — rozbudzając w niem niejednokrotnie struny podnioslejsze.

To oddziaływanie wychowania fizycznego na wolę i serce nie jest, rozumie się, bezpośredniem ale pośredniem tylko i nie rodzi się ono samo przez się z wychowania

fizycznego jako takiego, ale płynie z zespołu warunków i okoliczności, jakie toż wychowanie wytwarza, w jakich się samo rozwija i jakie sam wychowawca celowo dla wychowawczego dobra wychowywanych stwarzać jest obowiązany.

Z tego punktu widzenia rzecz biorąc, z góry orzec można, że wychowanie fizyczne może urabiać wolę indywidualnie i społecznie, oraz działać pozytywnie t. j. usuwać pierwiastki dla rozwoju woli niepożądane a szczerpie i wypracowywać w woli stany, nałogi i przymioty dla niej zdrowotne i zbawcze — i w ten sposób konsekwentnie przysłużyć się na serjo urabianiu charakterów ludzkich. Ta rzetelna współpraca wychowania fizycznego z wychowaniem w ogóle, nieświadomym może przedstawiać się jako postulat tylko a w najlepszym razie jako gołosłowne twierdzenie. I tak byłoby rzeczywiście, gdyby życie w tej mierze nie dawało niewątpliwych i zwycięskich, bo doświadczeniowych dowodów.

Zobaczmy, co w tym przedmiocie mówi życie, co w wielu wypadkach mówić może a co w każdym razie przynajmniej (zależnie od wychowawców) mówić powinno.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. EK.

BENEDYKT XV.

Smutne dni ma poza sobą świat katolicki. Bo nagle, prawie niespodzianie przyszło mu stanąć u trumny jego Najwyższego Pasterza, Ojca św. Benedykta XV. Śmierć, co nie bierze żadnego względu ni na godność, ni stan, ni wiek, zabrała go po ledwie kilkudniowej chorobie. I bólem ścisnęły się serca wiernego ludu katolickiego z żalu nad śmiercią tego, który z woli Chrystusowej jako następca Piotra był mu naczelnym wodzem na drodze ku światom nadziemskim. A był to żal tem głębszy, że ścieśniły nasz stosunek do niego te cierpienia i niedole, jakie za jego rządów nas a tem samem i jego przygniotły; nic zaś tak ludzi nie łączy jak wspólne łzy i wspólne nieszczęścia. To zaś potęguje nasz ból, że nie danem mu było doczekać się odrodzenia ludzkości po strasznej klęsce, jaką ona była przeszła, że gasnący jego wzrok widział jeszcze przeróżne chmury, które w czarnych kłębach nad światem ciążyły. Stał się on nam szczególnie drogim jako nasz wódz duchowy w dniach niedoli i klęski.

Z możnego rodu pochodził Benedykt XV, z włoskich margrabiów Della Chiesa. Snać przywiązany bardzo do Kościoła lub zasłużony około Niego musiał to być ród, gdyż włoskie Chiesa znaczy tyle co nasze polskie Kościół. Niewiadomo, czy ród ten sam sobie przybrał to nazwisko czy też inni mu je nadali, w każdym razie świadczy ono, jak ściśniami musiały być stosunki przodków zmarłego papieża do Kościoła; dowodem na to jest też ich herb, wyobrażający kościół. I stało się to nazwisko dla jego piastunów zaszczytem, obciążonym wielkim obowiązkiem, któremu nie sprzeniewierzyli się. Boć dwóch z tego rodu wyniósł Kościół na ołtarze, ogłaszając ich świętymi, Jana i Antoniego dominikanina. I o czterech biskupach i jednym kardynale mówią dzieje rodziny margrabiów Della Chiesa.

Lecz i dom matki Benedykta XV. przechowywał wspomnienia niezwykle związane z Kościołem św. Pochodziła ona z rodu Migliorati'ch, do którego należał papież Inocenty VII.

Nad błękitną zatoką morską, w miejscowości Pegli, tuż pod Genuą, wielkiem portowem miastem włoskiem, stała kolebka zmarłego papieża. Dnia 22 listopada 1854 r. ujrzał on światło dzienne

jako syn Józefa i Anny. Na chrzcie nadano mu imię Jakóba. Wcześniej już poczuł młody Jakób pociąg do stanu duchownego, lecz ulegając woli ojca, rozpoczął on wprawdzie nauki świeckie. Wybrał sobie prawo i ukończył je na uniwersytecie w Genui w 21. roku życia z stopniem doktora praw. Spełniwszy życzenie ojca, nie ościagał się z pójściem za głosem wewnętrznego powołania i zabrał się do nauk duchownych. Rozpoczął je w jednym z seminarij rzymskich. Wyświęcony na kapłana w r. 1878, nie porzestaje swych nauk, lecz uczęszcza jeszcze do instytutu naukowego, w którym wykładano administrację i politykę kościelną. Dobrze więc otrzymał przygotowanie naukowe do objęcia później najwyższych rządów w Kościele. Lecz jeszcze gruntowniejsze było jego przysposobienie praktyczne. Boć większą część życia swego kapłańskiego przed papieżstwem spędził na stanowiskach, na których brał sam udział w kierownictwie politycznym spraw kościelnych. I tak poszedł on w r. 1885 do Madrytu, stolicy Hiszpanji, jako sekretarz nuncjusza Rampolli, sławnego później kardynała sekretarza stanu i najbliższego współpracownika Ojca św. Leona XIII. Wielkie musiał tam okazać zdolności, kiedy nuncjusz Rampolla, zostawszy sekretarzem stanu t. j. głównym kierownikiem spraw politycznych i administracyjnych Kościoła, wezwał go do siebie jako swego współpracownika. Ku największemu zadowoleniu swego zwierzchnika piastował ks. Jakób Della Chiesa ten swój urząd, bo został w r. 1900 zastępcą sekretarza stanu, które to stanowisko wielkie ma znaczenie. A gdy po śmierci Leona XIII. i wyborze Piusa X. miejsce kardynała Rampolli zajął kardynał Merry del Val, zatrzymał nowy sekretarz stanu zastępcę swego poprzednika, rozumiejąc, jak wielce przydatnymi mogą mu być jego wiadomości i doświadczenie. I dopiero w roku 1907, gdy został arcybiskupem Bolonji, opuszcza ks. Della Chiesa to swe długoletnie stanowisko. 25 maja zaś 1914 r. obdarza go Pius X. purpurą kardynalską.

I nadeszły one straszne dni sierpniowe r. 1914. Krwawa luna wojny zagorzała nad Europą. Rozpętał się straszny szal bitew, siejąc postrach, śmierć i zniszczenie wśród narodów wielu. Rozwydrzona nienawiść rozpoczęła swój piekielny triumf. Nie mogło tego znieść serce dobrotliwego Piusa X. i pękło z boleści. Dnia 20. sierpnia r. 1914. rozeszła się po całym świecie żałobna wieść, że Ojciec św. umarł. Do tych wszystkich nieszczęść, w jakich świat katolicki był pogrążon, dołączyło się jeszcze osierocenie Stolicy św.

W smutnych bardzo warunkach musiał się odbywać wybór nowego papieża. Ludzkość pławiła się w morzu krwi. Niejeden z kardynałów, co spieszyli do Rzymu, by dać Kościołowi Najwyższego Pasterza, odjeżdżał z siedziby swej z odglosem wrzawy bitew w uszach, z odblaskiem krwawych lun w oczach, widząc Ojczyznę swą, diecezję swą zalaną przez drapieżne hufce najeźdźców i słysząc bolesne jęki gwałconych owieczek.

Wśród takich okoliczności rozpoczęło się dnia 31 sierpnia konklawe celem oboru nowego papieża. Liczne tłumy zaległy w dniu 1. września plac przed bazyliką św. Piotra, oczekując wyniku głosowania zamkniętych w salach watykańskich kardynałów. Lecz próżne to było wtedy czekanie. Około południa ukazał się nad kominkiem kaplicy sykstyńskiej czarny dym, co niechybnie było znakiem, że głosowanie nie doprowadziło do żadnego wyniku. Rozeszły się więc tłumy, by wrócić pod wieczór, lecz i wtedy ten sam widok im się przedstawił.

I tak działo się przez kilka dni z rzędu. Aż czwartego września otwarły się okna balkonu bazyliki i ukazał się w nich z otoczeniem jakiś kardynał. Radosne wzruszenie przebiegło tłumy: Ojciec św. już wybrany. I wśród niezmiernej ciszy rozległy się donośne słowa: „Z wiastuję wam wielką radość, mamy papieża, najdosłojniejszego kardynała Jakóba Della Chiesa, który nadał sobie imię Benedykt XV.“

Sieroctwo Stolicy św. skończyło się.

Pewnie żaden następca św. Piotra nie obejmował w tak smutnych czasach rządów Kościoła św. jak Benedykt XV. W ponurym brzasku pożogi wojennej padały setki tysięcy trupów ludzkich, wznosiły się rozdzierające jęki milionów rannych, obracały się w gruzy tysiące miast i wiosek, przemieniały się w pustynie całe kraje, szły na wygnanie pędzone dzikim strachem lub gwałtem wojsk setki tysięcy ludzi bezdomnych. Nigdy jeszcze nie patrzała ludzkość na podobny szal zniszczenia. Wśród takich warunków objął ster łodzi Piotrowej nowy papież. I większą połowę jego rządów wypełniał szczęk oręża, wzmagający się jeszcze z dnia na dzień do niesłychanej gwałtowności.

A gdy nareszcie zjawił się po długich miesiącach tak upragniony pokój, uciszając światową wrzawę wojenną, nie danem było odefchnąć ludzkości. Boć jeszcze na wschodzie wybuchała w nowych płomieniach tu i owdzie nie przyduszona zupełnie pożoga wojenna. Lecz straszniejszy od tego był zamęt rozruchów społecznych, które od ostatnich miesięcy wojny aż do obecnych czasów jeszcze srożą się, podważając główne podstawy gospodarstwa ludzkiego i dobrobyt świata. Oszołomione masy prą ku przewrotom społecznym i swem bezrozumnym postępowaniem zaogniają te rany, które wojna ludzkości zadała. A ten zamęt podnosił tunany niewiary, niechęci i nieprzyjaźni ku religji i Kościołowi św., odurzając liczne tłumy tenti złudzeniem, że raj ziemski uczyni zbytecznym raj niebieski. Z wielu serc ludzkich wyrwały te wichry zaburzeń społecznych wiarę św.

I straszne następstwa wojny występowały w rozmiarach niespodziewanych. Głód i nędra wzmogły się jeszcze. Całe kraje i narody ogarniał niedostatek w wzrastającym rozpedzie.

Wśród takiej niedoli świata upływały rządy Benedykta XV. Ciężkiem była dlań brzemieniem ta tyara papieska, którą na głowę

mu włożono. Lecz nosił on to brzemie z taką powagą, godnością i poświęceniem, że chlubi się takim swym Najwyższym Pasterzem świat katolicki a innowierczy z podziwem przed nim głowę skłonił.

„Papieżem wojny“ był Benedykt XV., lecz działalnością swą zasłużył sobie na miano „papieża pokoju“. Boć w ojcowskiej swej miłości, co chce skrócić dni męki ludzkości, nie ustawał w zabiegach, by sprowadzić pokój na ziemię. Już zaraz w pierwszym swem orędziu z 1. listopada 1914 r. daje wyraz najgorętszemu swemu życzeniu jak najrychlejszego ukończenia tych krwawych zapasów narodów świata i nawołuje walczące strony do upamiętania, zgody i miłości. Lecz przede wszystkim u tronu Bożego pragnął zebrać wraz z wiernym swoim ludem o zmiłowanie nad światem, owitym w opary krwi i chmury dymów bitewnych. Stąd wyznacza na całym świecie katolickim dni błagalne i pokutne, w których każe wiernym przed N. Sakramentem kajać się w korynych modłach o przerwanie morderczych walk, o pokój. Kilkakrotnie ponawia te swe zarządzenia. I układa osobną modlitwę o pokój, by ją w niedzielnych i świątecznych nabożeństwach odmawiano wszędzie, gdzie świątynia katolicka się wznosi. Chcąc zaś zapewnić sobie szczególnie orędownictwo i pośrednictwo Bożej Rodzicielki co do wysłuchania swych najgorętszych życzeń, każe Ją czcić w litanii loretańskiej jako Królowę Pokoju.

Nie gardził zmarły papież i ludzkimi środkami, by pogodzić powaśnione narody i państwa. Stąd podnosi kilkakrotnie swój głos w odezwach do walczących stron, by zaprzestały okrutnego krwi rozlewu, co bezbrzeżnym nieszczęściem gnębi ludzkość, i złożyły broń morderczą.

Gdy zaś takie ogólne wezwania nie odniosły żadnego skutku, wystąpił w dniu 1. sierpnia 1917 z szczegółową już propozycją pokoju, podając w niej podstawy, na którychby można oprzeć porozumienie. Kiedy i ta przebrzmiała bez echa, jeszcze 2 razy usiłuje pośrednictwem swym wpłynąć na przyspieszenie pokoju. Nie miał jednak z tem szczęścia, bo zbyt wiele było jeszcze pychy i niesprawiedliwości na świecie.

Nie przestał „papież pokoju“ na samych staraniach o pokój. Nie mniej gorąco zabrał się do zmniejszania i łagodzenia niedoli, w jaką wojna świat wciąfiła. Widząc to straszne spustoszenie w niektórych krajach, słysząc o tej wielkiej nędzy ich ludności, nieraz zupełnie bezdomnej, spieszy z swą pomocą. Sam z szczyptych swych funduszków śle pokaźne sumy na rzecz nieszczęśliwych ofiar wojny; lecz nie dość na tem, zarządza jeszcze na ich rzecz modły i zbiórki w całym katolickim świecie; m. i. i Polska doznała tej jego ojcowskiej szczodrobliwości. Pierwszego roku wojny chciał wojskom walczącym sprawić piękną gwiazdkę, zwracając się do wszystkich rządów walczących państw, by przynajmniej w dzień narodzin „Księcia Pokoju“ zaniechano walki; niestety nie usłuchano go. Lecz nie zrażał się, niezamordowany w swych usiłowaniach ulżenia niedoli wojennej, niepowodzeniami; wciąż no-

we wynajdywał sposoby. On to wystąpił z projektem wymiany chorych jeńców, co tyle tysięcy wyrwało z ciężkiej niewoli i umożliwiło im powrót do zdrowia.

A ostatnie jego słowa, wypowiedziane na ziemi, były: „Oddaję Bogu życie moje za pokój dla świata“.

Nie dziw więc, że i wśród innowierców budzi się podziw i uwielbienie dla Głowy Kościoła katolickiego za jej czynne miłosierdzie i że w tureckim Konstantynopolu, będącym siedzibą dwóch obcych najwyższych władz religijnych, mahometańskiej i prawosławnej, wystawiono Benedyktowi XV. pomnik, odsłonięty ledwo miesiąc przed jego śmiercią.

Nie z kamienia ni z brązu, lecz z uczuć wdzięcznych wystawia mu żywy pomnik naród polski. Wiele on dla nas uczynił, wiele nam okazał w krótkich latach swych rządów miłości, troskliwości i życzliwości. Jako młody kapłan miał sposobność, odprawiając mszę św. w kaplicy polskich zakonnic Zmartwychwstanek, słyszeć często od nich o nieszczęśliwych losach Polski, o tych gwałtach i prześladowaniach, jakich ona była ofiarą. Z tych opowiadań żywych zaczerpnął lepszą i głębszą znajomość naszych dziejów niż inni z ksiąg grubych. Poznawszy tak Polskę, nie mógł jej w sercu nie pokochać i nie powziąć ku niej najgorętszej życzliwości, nie przypuszczając zgola, że będzie mógł także tego dać rozliczne dowody i czynną swą pomocą tak wiele pożytku naszemu krajowi przynieść.

Boć on to zwrócił oczy całego świata na niedolę i nieszczęście polskiego narodu, gdy w r. 1915 zarządził po wszystkich świątyniach modły zań i wezwał do jednoczesnego składania ofiar na wspomnienie naszego kraju, tak dotkniętego zniszczeniem wojennem. I już po wojnie, dowiedziawszy się o głodzie dzieci polskich, śle dla nich z własnej swej szkatuły znaczną sumę, by według swych sił się przyczynić do wyleczenia ran, zadanych Polsce przez okrutną wojnę. Lecz nie na tej pomocy tylko ograniczała się jego miłość ku nam. Odczuwał on głęboko tę wielką krzywdę, jaką wyrządzili nam zaborcy przez drapieżny podział naszego kraju i dlatego za wzorem swych poprzedników, a zwłaszcza Piusa IX, pragnął porówno z nami wyzwolenia naszej Ojczyzny. I dlatego odezwał się w r. 1916, kiedy żaden europejski mąż stanu o zupełnem i całkowitem wyzwoleniu Polski mówić się nie odważał, kiedy obecni nasi najserdeczniejsi przyjaciele z względu na cara rosyjskiego o uwolnieniu naszej Ojczyzny milczeli, do biskupów polskich w te śmiałe słowa: „Z całego serca życzę waszemu krajowi wyzwolenia“. On to pierwszy uznaje nas za wolne i niepodległe państwo i na znak tego ustanawia w Warszawie swego nuncjusza, którym był kardynał Ratti, obecny papież Pius XI. A gdy skupiły się znowu nad krajem polskim chmury złowrogie, gdy nawała bolszewicka zbliżała się pod stolicę, grożąc zniszczeniem co dopiero odzyskanej wolności, wtedy z wielkiej obawy o nas kazał się za nas modlić po wszystkich rzymskich ko-

ściolach. A nie miała granic radość jego, gdy nadeszła wiadomość o zwycięstwie, odniesionem w sam dzień Wniebowzięcia Przemyskiej Dziewicy, co się odzwierciedla w liście do biskupów polskich, napisanym pod wrażeniem uratowania kraju naszego znad brzegu przepaści, w którym nazywa Polskę wprost przedmurzem Europy, podnosząc jej zasługi około chrześcijaństwa. List ten jest jeszcze i tem znamienity, że pokazuje w nim Ojciec św. drogę do wzmocnienia i podniesienia powagi Naszej Ojczyzny a mianowicie poniechanie zatargów partyjnych, porzucenie wewnętrznej niezgody i wyteżenie wszystkich sił na utrwalenie wiary i państwa. Niestety nie bardzo posłuchano tej życzliwej przestrogi papięskiej.

Wielkim więc dobroczyńcą narodu polskiego był Benedykt XV.

Serdeczną też troską otaczał on stan robotniczy, troską tem serdeczniejszą, że przeciw stan ten w zawierusze zaburzeń wojennych i społecznych tak wielkimi niebezpieczeństwami był otoczony. Stąd to nie pominął żadnej sposobności, by zwrócić się do mas robotniczych z słowami upomnienia i przestrogi przed drogą fałszu, błędu i nieszczęścia, na którą ją ludzie o przyémionym zmyśle prawdy i zepsutem sercu pociągnąć usiłują. Nawoływał je do rozważy i opamiętania, do przeciwstawiania zdrowego rozsądku pokusom złudnym uwodzicieli. Wyraźnie wymienił te błędne zasady, które są przyczyną wszystkiego złego tych burzliwych czasów. A chcąc unaocznic całe niebezpieczeństwo socjalizmu, który nie tylko pod względem gospodarczo-społecznym, ale i religijnym jest bardzo szkodliwym, nazwał go w liście o czci św. Józefa „najzacieklejszym nieprzyjacielem zasad chrześcijańskich“. Często wykladał wobec zgromadzonych rzesz robotników katolicką naukę społeczną, przyczem z szczególną lubością powoływał się na encyklikę swego wielkiego poprzednika Leona XIII „Rerum Novarum“. Nie było roku, w którymby z wyżyn Stolicy Piotrowej nie przemówił do świata robotniczego; nieraz kilka razy w roku rozchodził się głos papięski w sprawach robotniczych.

Lecz nie zadawał się Benedykt XV samemi tylko pouczeniami i ostrzeżeniami. Rozumiał dobrze niedolę robotnika i z całym sercem pragnął mu dopomóc. Z tych to powodów pochwalał różne trafne i pożyteczne zarządzenia, i sam polecał swoje sposoby i środki. I tak wyraził w liście swym do biskupów prowincji weneckiej uznanie swe dla izb pracy, których celem jest załatwianie zatargów między pracobiorcami a pracodawcami, zwrócił duchowieństwu uwagę na jego obowiązek zajęcia się losem stanu robotniczego, wezwał wyższe stany społeczne do pracy dla dobra warstw wyrobniczych i uwydatnił niezmiernie doniosłe znaczenie katolickich organizacyj robotniczych.

Jako przedśmiertne jego życzenie zaś musimy uważać mowę jego z dnia 15 grudnia 1921 r., mianą do przedstawicieli robotników, w której uważa za jedną z najważniejszych spraw zapoznanie dokładne robotników z katolicką nauką społeczną. Mowa ta i pod

tym względem ma dla nas znaczenie, że przypomina on w niej pracodawcom i kapitalistom, że mają oni obowiązki wobec swych pracowników i to święte obowiązki, których nie znieść nie może.

Wielkie więc zasługi położył zmarły papież około stanu robotniczego.

W innych dziedzinach utrwalił swe imię wydaniem nowej księgi prawa kościelnego, która nowy niejako rozdział w dziejach Kościoła rozpoczyna. Przyczynił się też do podniesienia nauki kościelnej przez bardzo szczęśliwe swe zarządzenia. Przeworną zaś i mądrą polityką swą umiał doprowadzić do zgody z Francją.

Wielką przeszkodą w rządach były mu te zaburzenia, które cały czas jego panowania wypełniały. Niejednych spraw nie mógł z powodu tych okoliczności wykonać. I gdy zdawało się, że chmury rozpoczynają się rozchodzić, odwołał go Bóg z tego świata.

Krótkie były rządy Benedykta XV. Lecz wyda o nim historia sąd, że w czasach najburzliwszych, jakie znają dzieje świata, miał w nim Kościół katolicki sternika, co doświadczoną i mądrą ręką kierował nim wśród szalejących nawałnic i zawieruch. Polska zaś straciła w nim wielkiego swego przyjaciela.

Ks. Wł. Kr.

Poznaj Polskę!

III.

(Wsie i miasta: powstanie, rozwój, stan obecny).

Ostatnią pogadankę naszą zakończyliśmy rozważaniem nad ludnością, która Polskę zamieszkuje. Mamy już więc pojęcie ogólne o kraju, o jego obszarze, o wyglądzie wewnętrznym, mamy dalej pojęcie ogólne i o ludności, mieszkającej na opisanym terenie. Wiemy skąd i kiedy Polacy wywedrowali, jakiego są szczepu, plemienia i jaką liczbę stanowią dziś w przybliżeniu. A nie małym jesteśmy narodem. Przeszło 26 milionów, to wcale pokaźna liczba! Rychło patrzeć jak następny spis ludności, który ma się odbyć za ośm lat w 1930 roku, wykaże, że jest nas że 30 milionów. Staniemy wtedy jako potężny naród w Europie, prawie narówni z Francuzami, Anglikami i Niemcami. Ci ostatni nie będą dla nas tak niebezpieczni jak dziś, a odwet, który nam ciągle obiecują, nie będzie znowu taki przerażający. Że wzrośniemy w liczbie, to pewno. Naród nasz nie wymiera, ale stale z roku na rok się powiększa. Co roku więcej jest urodzonych niż zmarłych. To właśnie stanowi naszą siłę. Nie lękajmy się, że nam chleba zbraknie, kiedy wzrośniemy liczebnie. Dziś szwankujemy nie dlatego, że ludzi za wiele, tylko dlatego że zastój w pracy dziś wielki, jak to zawsze bywa po wojnie. Ale niech tylko ruszy przemysł, rozpocznie się praca nad odbudową kraju, na tysiące rąk do pracy znajdzie się miejsce.

A jakie to obszary mamy niezaludnione na kresach wschodnich, gdzie już się rozpoczęła wojskowa kolonizacja. To wszystko trzeba zaludnić, ziemię objąć, uprawić, by nie leżała odłogiem. Handel wreszcie w b. Kongresówce, Galicji i na kresach wschodnich, gdzie dziś Żyd króluje i jak pijawka krew ciągnie z nas zyski, wiecie wiele ludzi potrzebuje? Akurat tyle, ilu jest dziś Żydów. Bo miejsce każdego z nich musi zająć Polak, co i handel będzie prowadził uczciwie i znajdzie dla siebie środek wyżywienia.

W Belgii na 1 klm² mieszka około 252 ludzi i żyje sobie dostatnio, gdy u nas natomiast na tę samą przestrzeń wypada około 94 mieszkańców. Nie lękajmy się więc przeludnienia. Nie zginiemy z głodu. Tylko na roli siedzieć wszystkim niepodobna, bo wszystkim ona chleba nie da. Kto zostaje na roli, niech ją uprawia, a pozostałym trzeba się brać za przemysł, za handel, tyle innych zajęć, które na nas czekają.

Zastanowimy się teraz nad pytaniem, w jaki sposób ta wielka miljonowa rzesza Polaków rozlokowała się na przestrzeni swojego kraju? Odpowiedź sama się nasuwa. Nie rozrzucony są pojedynczo po całym kraju, ale zgrupowani mieszkają w miastach, miasteczkach, wsiach, i osadach. Patrzymy na to zjawisko dziś wszyscy i rozumiemy, że inaczej być nie może, bo człowiek z natury swojej dąży do osiedlania się gromadnie. Ale ciekawą może będzie rzeczą dowiedzieć się, w jaki sposób te polskie wsie i miasta powstawały, jak i kiedy je zakładano, jakie były ich dzieje.

Omówiwszy ludność, wypada powiedzieć słów kilka o sposobie jej zamieszkiwania.

Zajmijmy się więc najprzód powstaniem, pochodzeniem i rozwojem wsi polskiej, która była pierwotnie najbardziej rozpowszechnionym typem ludzkiego osiedlania.

Przypomnijmy sobie, co mówiliśmy już o Polakach. Było to plemię Słowian, początkowo słabe liczebnie, które rozpadało się na cały szereg rodów, jakby jakich wielkich rodzin, gdzie wszyscy krewni razem mieszkali i podlegali władzy wybranego przez siebie starosty rodowego. Był on zwykle najstarszym w rodzie. Ziemi w Polsce w owe czasy nie brakło. W większej części była pokryta puszciami, szumiącymi borami, które trzeba było ciąć, aby zdobyć ziemię pod uprawę. Naczelnik rodu wybierał najdogodniejsze miejsce na polanie, lub na skraju lasów w pobliżu wody, budował tam chatę wspólną dla całej rodziny, która też wspólnymi siłami uprawiała zajęta pod uprawę zboża rolę. To był początek wsi polskiej. Z czasem brakło miejsca we wspólnej chacie, musiał ktoś ustępować. Budowano mu chatę obok — wieś się rozszerzała. Z wzrostem wsi słabła i władza naczelnika rodu, bo każdy w swej chacie zakładał swoje ognisko rodzinne. A kiedy ziemi trzeba było brać więcej pod uprawę, bo dawna już liczna rodu żywić nie mogła, powstawały i gospodarstwa samodzielne. Osad tych było dużo. Dla rozróżnienia jednych od drugich trzeba było nadać im nazwy. Nazywano je często od imienia pierwszego założyciela,

lub innego znacznego starosty rodowego. Jeśli się on nazywał kwiatek, to osadę, gdzie mieszkał jego ród, nazywano Kwiatkowice, jeśli Dalech — osadę nazwano Dalechowice, od Jarosława powstały Jarosławice i t. d.

Czasem znowu nazywano wsie od miejscowości, którą wybrano dla osiedlenia się. Wieś, założoną w dąbrowie — nazwano Dąbrową, od lasów jodłowych zwano ją Jedlnią, położoną w górach — zwano Góry lub Podgórze, leżącą na łąkach — Łęgonicami lub Łekawicą i t. d.

Nie wszystkie wsie jednak w opisany sposób powstawały. Polacy mieli wrogów, przed napadami których musieli się bronić. Dla obrony granic i dla bezpieczeństwa ludności na czas wojny książęta budowali grody. Były to miejsca obronne obwiedzione palisadą, okopane rowami, jakby dzisiejsze twierdze czy fortece. W tych grodach mieszkali rycerze. Książę ich całkowicie utrzymywał, a oni wzamian obowiązani byli stawać na każde zawołanie księcia. Książę musiał im dostarczyć odzieży, żywności, koni i uzbrojenia. W tym też celu około grodów zakładał wsie, które zobowiązywał do dostarczania wymienionych rzeczy rycerstwu, albo do spełniania tam odpowiednich usług. Powstały więc Rybitwy — dostarczały ryb, Szczytniki — broni, Skotniki — bydła, Piekary — wypiekali chleb i t. p.

Zaznaczyć należy, że oprócz księcia zakładali wsie duchowni i rycerstwo, których książę obdarowywał ziemią w tym celu. Wsie te przybierały wtedy nazwy od swoich założycieli. Były to: Kościelniki, Opatkowice, Biskupice, Sieciechów, Borzęcin, Prędocin i t. p.

Nie od rzeczy może będzie wspomnieć przy okazji o kmieciach — mieszkańcach wsi ówczesnej. Otóż każdy z nich posiadał około 1 łana ziemi. Równał się on mniej więcej dzisiejszej włóce. Byli oni wolni osobiście, mogli swobodnie przechodzić z jednej wsi do drugiej. Na rzecz księcia składali pewne daniny: daninę w zbożu (osep), w miodzie (czasza) i t. p. Prócz tego obowiązani byli do pewnych usług. Budowali grody, mosty, stróżowali w grodach (stróża), ścinali drzewa w lesie dla zatamowania pochodni nieprzyjaciela (przesieka), ułatwiali księciu przejazd po kraju (podwody, przewód), podejmowali go u siebie, kiedy zatrzymał się w objeździe. Dla utrzymania duchownych składali dziesięcinę — co dziesiątą snop zboża przy zbiorach.

To byłoby tych kilka uwag, odnoszących się do powstania i początkowych dziejów wsi polskiej. Nie mogły jednak one rozrastać się w spokoju. Około siedmiuset lat temu przyszły straszne najazdy Tatarów, a oprócz tego inne wojny, które Polacy prowadzić musieli, zniszczyły kraj, szczególnie wschodnie i południowe ziemie. Wojny tatarskie były okropne. Stokroć więcej w swem okrucieństwie przewyższające wojnę ostatnią. Wsie palono, równano z ziemią piękne osady, a ludność wycinano w pień jak dzieci i starców, niezdolnych do pracy, młodzież zaś uprowadzano ze

sobą, aby jako niewolników odprzedać gdzieś w dalekie zamorskie kraje. Nic dziwnego, że piękna i jako tako zaludniona Polska stała się znowu pustynią prawie. Szybko jednak otrząśnięto się z nieszczęścia i zabrano do odbudowy. Brakło ludzi, więc skorzystano z tego, że z Europy zachodniej (Niemiec, Holandji) przychodzili ludzie szukać w Polsce lepszego bytu i z nich tworzono nowe wsie. Właściciel ziemi układał się z przedstawicielem kolonistów, który z niemieckiego nazywał się sołtysiem (Schultheis) — od tego czasu nazwa ta w Polsce się utrzymała — dawał im kawał ziemi, który dzielili pomiędzy siebie i budowali zagrody. Za to właścicielowi płacili czynsz roczny, jakby dzierżawę. Ziemia jednak była ich własnością. W pierwszych latach po założeniu, aby się mogli zagospodarować — byli od płacenia czynszu wolni. Stąd też takie wsie często nazywano Wola, albo dodawano i nazwę wsi sąsiedniej np. Lipka Wola, Grabowska Wola i t. d.

Nie trzeba myśleć, że tylko z cudzoziemców-kolonistów te wsie się składały. Nie. Oni rozpoczęli tę pracę. Później znalazło się dużo Polaków bezdomnych, powracających z puszczy, lasów, gdzie przed najazdami się chronili, zbiegłych z niewoli, którzy na czele ze swoimi sołtysami nowe wsie zaludniali.

Po wojnach szwedzkich, które w jakie czterysta lat po najazdach Tatarów przyszły, znowu wsie polskie podupadły. Zniszczyły je najazdy i pożogi, wyludniły głody i choroby. Za odbudowę wzięła się wtedy wzrosła w potęgę szlachta. Nowych osadników w swoich wsiach osadzali, dając im mniej ziemi, bo po $\frac{1}{2}$ i $\frac{1}{4}$ łana, a resztę zamieniali w folwarki. Folwarki były duże, a więc i praca włościan przy ich uprawie była większa. Była to tak zwana „pańszczyzna“, o której i dziś jeszcze starzy ludzie opowiadają. Zniesiona, już nigdy nie wróci, nikt zresztą tego nie pragnie. O dzisiejszych wsiach, w wielu wypadkach zrujnowanych przez ostatnią wojnę, parę słów dodam przy końcu pogadanki, a teraz chcę jeszcze powiedzieć nieco o miastach naszych.

A więc jakie było powstanie i rozwój miast polskich? Przypomnijmy sobie, co mówiliśmy o grodach. Były to twierdze, w których mieszkali rycerze, urzędnicy księcia, kapelanami zwani, czasem były w nich stolice biskupie. Ze względu na bezpieczeństwo przed nieprzyjacielem pod bokiem twierdzy, dokąd łatwo można się schronić, ludzie chętnie się tam osiedlali na tak zwanych podgrodziach. Prócz większego obszaru niczem zresztą te podgrodzia nie różniły się od zwykłej wsi. Może tylko tem, że ludność więcej zajmowała się rzemiosłem i że czasem zawitali tam kupcy wędrowni. Łatwiej mogli bowiem swój towar sprzedać rycerstwu, łatwiej dojechać, grody bowiem budowano zwykle przy drogach wodnych lub lądowych. Grody te, choć nie były jeszcze miastami właściwymi, miały już wtedy swoje znaczenie dla okolicznych mieszkańców. Tam oni udawali się do urzędników książęcych, czynili zakupy, chronili się przed najazdami, załatwiali potrzeby duchowe. Te właśnie grody były niejako zarodkiem póź-

niejszych miast, które się z nich rozwinęły. Miasta właściwe zaczęły w Polsce powstawać później od wsi, i to dopiero wtedy, kiedy to po najazdach Tatarów rozpoczęło się osiedlanie kolonistów, o czym mówiliśmy już przedtem. Była ta tylko różnica, że kiedy na wsiach Niemców niewiele się osiedlało, to do miast chętnie się oni garnęli. Czasem nawet w takich nowozałożonych miastach mowę polską trudno było słyszeć, bo sami cudzoziemcy je zamieszkiwali. Lata trzeba było czekać, zanim stali się oni Polakami i z mowy i z przekonania a zapomnieli o swoim obcym pochodzeniu.

Ciekawi może jesteście w jaki sposób te miasta zakładano?

Zupełnie w podobny sposób, jak i wsie. U księcia, możnego rycerza, czy u przedstawiciela kościoła zjawiał się przedstawiciel kolonistów, który z niemieckiego (Vogt) wójem był zwany, dostawał ziemię i różne przywileje dla nowych osadników i rozpoczynał pracę. Na oznaczonym miejscu wymierzano kwadratową przestrzeń — rynek, budowano ratusz, gdzie mieścił się zarząd miasta, a wokół rynku i przy bocznych ulicach wydzielano kolonistom place pod budowę domostw. Za otrzymaną ziemię płacili czynsz, jak i kmiecie. Miasta te, początkowo nieliczne i niewielkie, zakładane zazwyczaj przy grodach, rozrastały się i stawały się sławą Polski. Nie wszystkie one przetrwały do naszych czasów. Te same wojny o których przedtem mówiliśmy, szczególnie szwedzkie, i trudne położenie mieszczań, łaskanych przez szlachtę, sprowadziły ich upadek. Mamy dziś cały szereg miasteczek i t. zw. osad, które były wielkimi i kwitnącymi miastami w swoim czasie, a dziś są zaledwie osadami.

Kto zna dzisiejsze nasze wielkie miasta jak Warszawę, Poznań, Kraków, Lublin i inne, to wie, że w każdym z nich znajduje się stara dzielnica, często nawet starym miastem zwana, która jest właśnie tym pierwszym zaczątkiem, z którego się później miasta nowożytnie rozwinęły. Nie trzeba znowu sądzić, aby opowiedziany sposób powstawania i rozwoju miast był jedynym. Dzięki sprzyjającym warunkom i okolicznościom miasta samorzutnie powstawały już w nowszych czasach. Najlepszym przykładem może być Łódź, która na początku zeszłego stulecia była niewielką wioską, a dziś, dzięki temu że rozwinął się tam przemysł tkacki, zajmuje jedno z pierwszych miejsc w pośród naszych miast.

Dzisiejsze miasta zazwyczaj centra administracji państwowej czy to wojewódzkiej, czy powiatowej, z całym szeregiem innych urzędów, posiadające rozwinięty przemysł i handel, połączone kolejami są ośrodkami życia narodowego. Dziś trudnoby się było obyć wsi bez miasta, jak miastu znowu trudnoby było istnieć bez wsi.

Największem miastem dzisiaj w Polsce jest stolica kraju Warszawa. Liczy blisko milion mieszkańców.

Potem idzie cały szereg wielkich miast jak Lwów, Łódź, Poznań, Wilno, Kraków, Lublin i t. p.

Jeden z polskich uczonych prof. Romer obliczył miasta w Polsce. Ciekawi może jesteście, wiele mamy miast i jaką liczbę ludności posiadają, więc przytoczę obliczenia prof. Romera.

10 miast z ludnością powyżej 100 tysięcy
24 miast z ludnością od 50—100 tysięcy
12 miast z ludnością od 40—50 tysięcy
23 miast z ludnością od 30—40 tysięcy
36 miast z ludnością od 20—30 tysięcy
120 miast z ludnością powyżej 10 tysięcy

Dodać trzeba, że jeszcze nie osiągnęły one zupełnego rozkwitu. Z chwilą gdy nastaną odpowiednie warunki, znowu rozpocznie się ich rozwój, a więc wzrosną i liczebnie i ilościowo.

Na zakończenie obiecałem dodać słów kilka o wsi dzisiejszej. Ostatnia wojna wiele z tych wsi zniszczyła. Jednak odbudowa się rozpoczęła, jak również rozrastanie się starych wsi na dworskich gruntach parcelowanych. Ale jak się buduje? Bezplanowo, bezładnie, byle jak kleci się zabudowania. Nie zwraca się uwagi na to, aby zagrody dopomagały do zachowania zdrowia, aby przyzwójcie wyglądały na zewnątrz, według jakiegoś planu były pobudowane, aby przez to cała wieś miała piękny wygląd zewnętrzny. A stare wsie, jeśli weźmiemy pod uwagę czystość i porządek, to całkiem kiepsko się przedstawiają! Kałuże i błota, klody drzewa i kupy śmieci po drogach, przed domostwami brud i niechlujstwo — to zjawiska często spotykane. Porządek w podwórku i przed domem robi się raz na rok, albo i zupełnie nie, zamiast co sobotę zakrzatnąć się, by chata chędogo wyglądała. To przecie łatwo zrobić można, jak również przekopać rowy, by kałuży i błota nie było, uprzętnąć kupy śmiecia. Sad przy domu, w nim kilka uli z pszczołami, jak wiele uroku i piękności wsi naszej dodać może! Dzieci miałyby stąd radość i pożytek, bo za owocem nie uczyłyby się chodzić do cudzych ogrodów, nie uczyłyby się kradzieży. A ogródek z kwiatami przed domem, co to za piękna rzecz! Kwiateczki przeróżno kolorowe, kąpiąc się w blaskach słońca, jakby śmieją się do człowieka, radując jego serce i duszę! Jak można ich nie lubić i nie pielęgnować? Dziewczęta! Wiosna idzie — nie zapomnijcie niemi swej chaty upiększyć! A chłopcy stowarzyszeni niech wzmną sobie za cel utrzymanie porządku we wsi. Praca ta niezmiernie pożyteczna, miłą się dla was stanie, bo przez nią dla drugich coś zrobicie, dla waszej wsi, dla Polski, której wieś wonna jest częścią! Pomyślcie nad tem i bierzcie się za pracę — bo naprawdę warto!

Katolicki ruch robotniczy w Holandji.

Podobnie jak w innych krajach, ma katolicka organizacja robotników w Holandji 2 rozgałęzienia: Katolickie stowarzyszenia robotnicze i katolickie związki zawodowe. Oba mają swoje odrębne centrale, pierwsze z siedzibą w Hadze, obejmując 150 000 członków, a drugie z siedzibą w Utrajekcie, gromadząc 160 000 zorganizowanych robotników. Niestety między temi 2 organizacjami przyszło do długich i zawziętych sporów o zakres ich kompetencji. Ten bardzo niepożądany objaw, wyrządzający całej katolickiej akcji społecznej wielkie szkody, zniewolił episkopat do wyznaczenia komisji celem zbadania całej sprawy. Na zasadzie sprawozdań tej komisji ogłosili biskupi orędzie o zadaniach organizacyj stanowych t. j. stowarzyszeń i związków zawodowych. Jako główną podstawę katolickiego ruchu robotniczego uważa orędzie stowarzyszenia robotnicze, które mogą w zakresie swej działalności wciągnąć także obronę interesów materialnych, jeżeli dla niej niema osobnej organizacji; związki zawodowe są w pojęciu biskupów niejako delegacjami, ekspozyturami stowarzyszeń. Stowarzyszenia zaś winny dla całkowitego wypełnienia swych zadań starać się o tworzenie związków zawodowych. To orędzie biskupie odniosło pożądany skutek, stosunek między obiema dotąd zwalczającemi się organizacjami przybrał formy poprawne. Nastąpiło nawet tak zupełne uzgodnienie obustronnych poglądów, że powzięto zamiar zlania całkowitego obu central. Lecz plan ten nie zyskał aprobaty episkopatu, który uważał za wskazane zatrzymanie odrębności tych zrzeszeń robotniczych i tylko je w ścisłej współpracy zespolić postanowił. Dla zapewnienia tej współpracy ma powstać biuro centralne, któreby załatwiałoby sprawy wspólne obu organizacjom jak sprawy propagandy, prasowe, ubezpieczeniowe, statystyczne itd. Obecnie ułożyły się na skutek tych zarządzeń stosunki tak, że ośrodkiem całego katolickiego ruchu robotniczego w Holandji są stowarzyszenia.

Przedśmiertne życzenie Benedykta XV.

Katolicki świat robotniczy otrzymał krótko przed śmiercią Benedykta XV. od niego cenne wskazówki co do najważniejszego zadania swej akcji organizacyjnej. 15 grudnia r. z. bowiem odbyło się przyjęcie katolickiego stowarzyszenia rękodzielników i rzemieślników w Watykanie. Przy tej sposobności wyraził Ojciec św. w odpowiedzi na mowę powitalną prezesa tegoż stowarzyszenia

życzenie, by główną troską katolickich organizacji rzemieślniczych i robotniczych była praca nad umysłowym wykształceniem ich członków a przedewszystkiem nad dokładnem zapoznaniem ich z katolicką nauką społeczną. Odezwał się on dosłownie tak: „...Mamy to głębokie przekonanie, że dla rzemieślników i robotników — mianowicie wtedy, gdy należą do katolickiego stowarzyszenia — pewien stopień naukowego i religijnego wykształcenia, i to wyższy stopień niż ten, który dawniej dla tych klas był wystarczającym, jest bardzo pożądanym. To umysłowe wykształcenie jest im niezbędne, by ich nie mogło olśniewać fałszywe wykształcenie ich współtowarzyszy, którzy należą do innych kierunków, jest ona atoli też dla nich największą koniecznością, by mogli te błędy pod religijnym i kościelnym względem, które tak chętnie rzuca się pełnemi garściami między klasy robotnicze, odrazu jako takie rozeznąć i tych wszystkich półuczonych, którzy czerpią swą mądrość z podejrzanych romansów i gazet, z pełną pewnością i przekonaniem zgóry zbijać... Lecz jest studjum, które przedewszystkiem naszym robotnikom powinno leżeć na sercu, studjum sprawy społecznej w ogólności a sprawy robotniczej w szczególności. Chcielibyśmy przedewszystkiem dać wyraz naszej radości, że właśnie to studjum w myśli nieśmiertelnej encykliki „Rerum Novarum“ jest popierane przez katolickie stowarzyszenie. Oby tak mądre nauki wielkiego Leona XIII wszystkich przeniknęły i zapaliły a jego świetny dokument prawdziwej chrześcijańskiej demokracji nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie w życiu był wyzyskany. Wtedy mogłyby być spełnione sprawiedliwe żądania robotników: z jednej strony mogliby robotnicy w zamian za wierne wypełnienie obowiązków korzystać z swych słusznych praw, z drugiej zaś poznaliby pracodawcy i kapitaliści, że mają nie tylko prawa, ale i obowiązki wobec swych pracobiorców, i to święte obowiązki, których nic z tego świata niemożę usunąć.“

SPRAWOZDANIA.

Kursa społeczne dla ks. Patronów Stow. Rob. Chrz. w Diecezji Kujawsko - Kaliskiej i Kieleckiej

Sekretarjaty jeneralne Stow. Rob. Chrz. diecezji Kujawsko-Kaliskiej i Kieleckiej po zezwoleniu swych Pasterzy i po porozumieniu z Dyrekcją Zjednoczenia zorganizowały w Częstochowie w dn. 15, 16 i 17 listopada 1921 r. 3-dniowe kursa dla Duchowieństwa, w których wzięło udział do 60 kapłanów obu sąsiednich diecezji. Przewodnictwem kursów spoczywało w rękach ks. kan. W. Dymka z Poznania, na wiceprzewodniczącego powołano ks. kan. St. Mireckiego z Pabianic, a pióro powierzono ks. A. Sobczyńskiemu z Kielc. Ks. kan. Dymek, Dyrektor Zjednoczenia: przedstawił stosunek akcji zawodowej i politycznej do stowarzyszeń oświatowych; wyłożył formy parlamentarne; wyjaśnił sprawę wychowania obywatelskiego; omówił kierownictwo stowarzyszeń; zachęcił do intensywnej pracy w stowarzyszeniach. Ks. Ed. Kozłowski, redaktor „Przewodnika Społecznego“: dał pogląd na chrześcijański ruch robotniczy w Polsce; oświetlił nasze stanowisko wobec społecznych prądów społecznych; wskazał, jak zyskać współpracowników dla naszych stowarzyszeń. Ks. J. Patrzyk, sekr. jen. na diec. Kujawską: określił cele i zadania Stow. Robotników Chrześcijańskich; wskazał na środki pracy w stowarzyszeniach. Ks. Wł. Z. Pawłowski, sekr. jen. na diec. Kielecką przedstawił zadania religijne naszych stowarzyszeń; przemówił o finansach i agitacji. Słuchacze z głębokim zainteresowaniem wysłuchali wszystkich dwunastu referatów, czego najlepszym świadectwem była ożywiona dyskusja. Aktualne tematy były przedstawione jasno a przejrzysto według umiejętnie dobranych punktów praktycznego programu działalności w Stowarzyszeniach Robotników Chrześcijańskich. Niechybnie uczestnicy kursów nie tylko sami stowarzyszeniom dzielnie patronować będą, ale i innych zachęcą do czynnego poparcia kulturalno-oświatowej pracy wśród warstw robotniczych.

Z życia Chrześcijańskich Związków Zawodowych.

W dniu 3-go listopada 1921 r. odbyło się drugie z rzędu posiedzenie Centralnej Komisji Chrześcijańskich Związków Zawodowych w następującym składzie: poseł L. Gdyk, ks. Kasprzyk, red. Włoszczewski i J. Kosmaczewski.

Przewodniczy L. Gdyk, sekretarzował J. Kosmaczewski.

Po odczytaniu i zatwierdzeniu protokołu z poprzedniego zebrania kol. Włoszczewski wygłosił referat na temat: Udział robotników w zyskach. W dyskusji, jaka się nad tem referatem wyłoniła, wskazywano na konieczność jaknajszybszego wniesienia do Sejmu projektu ustawy o udziale robotników w zyskach oraz na uprzednie przygotowanie opinii w tym względzie, która to opinia nie zawsze informowana należycie zwłaszcza w kwestach robotniczych (lub wcale nie informowana) zajmuje często stanowisko bądź wręcz nieprzychylnie, bądź obojętne. Wszyscy mówcy podkreślali zgodnie, iż nastąpi teraz odpowiedni moment realizowania programu chrześcijańsko-społecznego.

Następnie zabrał głos poseł L. Gdyk na temat „Ośmiogodzinny dzień pracy“. W treściwym swym przemówieniu podkreślił wagę tej reformy w życiu robotniczym, wskazał na nasz niezmienny doń stosunek

i gotowość obrony przed wszelkimi bądź jawnymi bądź ukrytymi zamachami na tę podwalinę ustawodawstwa robotniczego. Wynikiem dyskusji na ten temat był następujący jednogłośnie przyjęty wniosek:

C. K. Ch. Z. Z. z powodu sprawy 8-godzinnego dnia pracy, która się odbiła głośnym echem w opinii publicznej i rozmaicie była komentowana wewnątrz obozu narodowego, zważywszy:

że 8-o godz. dzień pracy jest wielką zdobyczą robotników, że przynosi znaczne korzyści masom robotniczym, a przez nie i krajowi,

że jest wymiarem elementarnej sprawiedliwości i zapowiednią reform słusznych i od dawna potrzebnych,

że dla istnienia 8-o godz. dnia pracy w praktyce, a nie tylko w teorii potrzebne są zakazy pracy poza 8-o godzinami,

że projekt p. Michalskiego zmierzający do zniesienia przymusu 8-o godz. dnia pracy jest w rzeczywistości dla tego, kto zna stosunki robotnicze, wprowadzeniem 10-o godz. dnia pracy,

że sytuacja dzisiejsza Polski nie wymaga tak wielkiej ofiary ze strony robotników jak zniesienie 8-o godz. dnia pracy, którego zresztą realne korzyści wydają się mocno wątpliwe,

że duża ilość bezrobotnych przemawiałaby raczej za skróceniem, nie za przedłużeniem dnia roboczego i że w tym sensie postępują inne kraje Europy w okresie większego bezrobocia,

1-o wyraża uznanie N. Ch. klubowi robotniczemu, oraz obydwu Centralom Chrz. Zw. Zaw. za stanowisko zajęte przez nie w tej sprawie;

2-o uchwała wydanie broszury poświęconej sprawie 8-o godz. dnia pracy w celu należytego wyjaśnienia stanowiska, jakie grupy robotnicze narodowo i chrześcijańsko myślące zajmują w tej sprawie, wyrażając przekonanie, że opinia narodowa, słabo informowana o stosunkach robotniczych, będzie mogła zmienić swoje jednostronne stanowisko wobec 8-o godz. dnia pracy — na bardziej odpowiadające sprawiedliwości zdrowym wymaganiom życia i chrześcijańskiemu postępowi w dziedzinie społecznej.

W związku z organizacją Centralnych Chrz. Zw. Zaw. postanowiono ostatecznie zarządzić Zjazd Związku Włóknistego na dzień 27-go listopada 1921 r. w Łodzi.

Z kolei postanowiono zcentralizować Związek Prac. Dróg Kolejowych. — Termin zjazdu tego Związku ustalić po porozumieniu z Zarządami Związku w Warszawie i w Krakowie — nie później jednak niż w styczniu.

Po wysłuchaniu referatów ks. Kasprzyka „Kongres Chrz. Zw. Zaw.“ i „Prasa Zawodowa“ — i po przeprowadzeniu wszechstronnej dyskusji C. K. Chrz. Zw. Zaw. uznała za konieczne urządzić Kongres w Warszawie w miesiącu czerwcu r. p.

Wyłoniono Komisję, która zajmie się zorganizowaniem Kongresu — postanowiono desygnować doń po i przedstawicieli z Krakowa, Warszawy i Wilna.

W związku z referatem „Prasa Zawodowa“ — wyłoniono Komisję Prasową w następującym składzie: L. Chaciński, Puchałka, ks. Kasprzyk i Włoszczewski, której polecono opracować plan akcji prasowej i przedstawić na następnym posiedzeniu C. K. Ch. Z. Z.

Na tem posiedzenie zamknięto. Następne odbędzie się we wtorek dnia 20-go grudnia 1921 r.